

# Antoni Stąpor

---

## Wspomnienia Emilii Opalińskiej

---

Rocznik Kolbuszowski 5, 65-68

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Wspomnienia Emilii Opalińskiej

**D**zień 9 września 1939 r. wspominam bardzo przykro. Niemcy zniszczyli nam wszystko. Uciekliśmy tylko z tym, co mieliśmy na sobie. Gdy Niemcy wkroczyli do Kolbuszowej słychać było początkowo słabe strzały, później było ich coraz więcej i były głośniejsze. Zanim podeszłam do okna już paliły się nasze budynki: chlew i stajnia. Zatrzymała się u nas uciekiniarka, która dobrze mówiła po niemiecku. Spytała tych Niemców, dlaczego palą nasze budynki, skoro nie ma tu wojska. Odpowiedzieli, że widzieli żołnierza jak uciekał. My z domu nikogo nie widzieliśmy. Palenie naszych budynków rozpoczęli gdzieś około godziny 13<sup>00</sup> lub 14<sup>00</sup>. Na podwórzu było chyba 5-ciu żołnierzy. Krzyczeli po niemiecku ażebyśmy wyszli z domu. Naprzeciwno dzisiejszej przychodni zdrowia mieszkał pan Pastuła. Miał na obejściu duży płot. Tam Niemcy zorganizowali zgrupowanie ludzi starszych, kobiet i dzieci. Niemiec wszystkich pod bronią pilnował, ale on i inni dobrze się z nami obchodzili. Żadnego znęcania nie było. Zgromadzili około 30 - 50 ludzi. Dzieci płakały, niektórzy dorośli też. Ludzie mają różne charaktery i dlatego tę sytuację jedni przeżywali płacząc, inni zaś dusili to w sobie, inni znowu przeklinali to wszystko.

Przed opuszczeniem gospodarstwa ojciec chciał jeszcze coś z domu zabrać, ale już Niemcy nie pozwolili. Mężczyzn zabrano na błonia. Jak szłam z rodzicami, to zostałam ranna w nogę. Bydło wtedy porozchodziło się w pola, było bardzo gorąco. Na błoniach siedzieliśmy całą noc, a u nas to wszystko się dopalało. Był to okres *zaraz* po żniwach. Zboże było zebrane i się tliło przez długi czas na miejscu spalonego spichlerza. Na drugi dzień tata poszedł i to wszystko zalał wodą, aby chociaż dla bydła zostało. Zboże to tak bardzo przesiąkło spalenizną, że nawet bydło nie chciało go jeść. Najpierw jechały motocykle i było słychać pojedyncze strzały, później już samochody i czołgi. Spaliły się domy Weryńskiego i Maciaga. Na ulicy Obrońców Pokoju obok przedszkola spaliła się kamienica. Stały tam takie drewniane budy, w których mieszkali Żydzi, spłonęły. My gospodarstwo mieliśmy duże i handlowaliśmy z Żydami. Kupowali od nas zboże i bydło rzeźne, oczywiście koszerne. Świniaków nie chcieli nawet widzieć.

Jak Niemcy zapalali wozownie to nawet nie wiedzieliśmy w jaki sposób to zrobili. Jak stajnie zapalali to jeden z nich wywijał ręką i rzucał jakiś przedmiot, chyba to był granat. Nie było żadnego hałasu detonacji. To było zapalane ręcznie. Ja to widziałam, to straszny widok. Na polach były wielkie huki i wrywało wielkie leje. Czołgów nie widziałam. Wszyscy Niemcy jechali na motorach. Jeszcze mam przed oczami ich wygląd. Na

głowach mieli hełmy, wyglądali jak diabły. Było ich bardzo dużo. Ulicą jechało ich nieprzebrane masy.

Po spaleniu naszych zabudowań sąsiadka, która mieszkała przy ulicy wzięła nas do siebie. Dała nam taki mały pokoik. Tam spaliśmy dwie noce. Rodzice byli już starzy, przeżywali to bardzo boleśnie. Cały ich dorobek życia poszedł z dymem, został zniszczony. To właśnie oni, moi rodzice, Stępnio wie założyli to gospodarstwo od podstaw. Przybyli z Dzikowca. Tam sprzedali swoje gospodarstwo. Jak to wszystko się wypaliło, to zaczęło się z miejsca odbudowywać. Najpierw wybudowało się jedną izbę większą, żeby było gdzie mieszkać. Stajnię wybudowało się z takich desek. W środku na podłodze były trociny.

Wszystkie pieniądze się spaliły, które rodzice mieli ukryte w takim schowku, w piwnicy. Były w pudełeczku blaszanym banknoty dolarów i dość dużo bilonu. Monety stopiły się w jedną wielką kulkę. Z banknotów pozostały drobniutkie kawałeczki, które po otwarciu puszkę rozleciały się na tysiące drobinek. W kieszeni taty zostało 70 złotych. Tylko tyle ocalało pieniędzy.

W chlewni była tylko jedna świnka. Jak zobaczyłam, że dach już się pali pobiegłam tam, żeby ją wyciągnąć. Nie chciała wyjść tylko jak zwariowana biegała wkoło. Wcześniej jak się zanosilo jej jedzenie, to sama uciekała. Próbowałam ją zagonić do drzwi. Paliło się bardzo, mama powiedziała mi, abym ją zostawiła. Po kilku dniach tata poszedł do sąsiadów i dowiedział się, że inni sąsiedzi złapali świnię i ją zabili. Oddali mu trochę mięsa. Jedna krowa była w szopie i się spaliła. Niemcy jej nie wypuścili, a my już do tego wszystkiego nie mieliśmy głowy. Podczas pożaru bydło się rozeszło i jak przyszedł wieczór, to wróciło do tego jednego wielkiego pogorzelniska. Zaczęło potwornie ryczeć.

Podkreślę jeszcze, że od *zaraz* rozpoczęliśmy porządkować zgliszcza i odbudowywać dom. Chociaż trzeba raczej powiedzieć budować od podstaw. Dwie krowy trzymaliśmy u Cibickich, żeby mleko było. Trzy sztuki bydła wzięła siostra, która razem z mężem mieszkała w Kupnie.

9 września Niemcy mówili, że widzieli na naszym podwórzu polskiego żołnierza. My jednak na naszym gospodarstwie nikogo nie widzieliśmy. Ja żadnych żołnierzy polskich nie widziałam, ani na obejściu, ani na ulicach. Walki toczyły się gdzie indziej. W Kolbuszowej byli wszędzie Niemcy. Jak zgonili ludzi, to był przykry widok. Każdy zabierał ze sobą jakiś tobolek. Ci ludzie i te tobołki: pierzyny, garnki itp. wyglądały okropnie. To wszystko się włokło. Dzieci ciągnęły jakieś prymitywne wózki. Niektórzy patrząc na to, uważali że właśnie tak wygląda koniec świata. Była to wielka tragedia dla narodu polskiego.

Tata kupił trochę drewna, rodzina przyjechała i pomagali w porządkowaniu i budowie. Zimą przesiedzieliśmy u Cibickich. U Cibickiego w warsztacie zamienionym na pokoik mieszkał starszy rangą żołnierz niemiecki. Przynosił Cibickim dużo cukru, dobrego chleba wojskowego, nawet konserwy

mięsne i wysokiej jakości kawę. My naszym dobroczyńcom dawali ziemniaki, mleko itp. Na drugą poszliśmy już do siebie. Jak przenieśliśmy się do tego jednego pomieszczenia, to już myśleliśmy, aby wybudować coś większego. Wybudowaliśmy mały domek. Mieliśmy tam trzy pomieszczenia. Jak przeprowadziliśmy się tam, to już było wygodnie. Te zabudowania, które wtedy wznieśliśmy stoją do dzisiaj.

Przed 9 września zniwa już skończyliśmy, zboże wymłócili i już było zmagazynowane. W polu zostały nam tylko ziemniaki i groch. I dzięki Bogu mieliśmy co do garnka wrzucić.

W Starostwie Powiatowym w Kolbuszowej pogorzelncom dawali bony żywnościowe. Niedaleko nas mieszkał starosta. Nazywał się Michał Łysaniuk i był bardzo porządnym człowiekiem. To właśnie on był odpowiedzialny za te przydziały żywnościowe i opałowe. Przychodził do nas i dobrze wiedział jaka krzywda nam się wydarzyła. Zawsze jak się do niego zwróciłam, to otrzymałam tą kartkę - bon. Rodzice nigdy nie chodzili po przydział, ale ja za wszystkim chodziłam. Tylko raz jeden urzędnik, Michał Ozimek potraktował mnie brutalnie. Jak poszłam raz, a nie było starosty Łysaniuka, to powiedział: To znowu ty, przecież wczoraj też byłaś?! Ja odpowiedziałam, że tak ale w domu byli robotnicy przy budowie i cały przydział poszedł. Mnie to bardzo zabolalo. Powtarzam, że tylko raz spotkałam się z tak złym potraktowaniem.

Był jeszcze niejaki Januszewski, który też był urzędnikiem. Przed wojną zawsze przystanął przed naszym domem i w zadumie mówił, że to jest piękny mały dworek. I rzeczywiście to było piękne gospodarstwo. W każdym, razie jemu się bardzo podobało. Nie wiem skąd przybył ze swoją rodziną do Kolbuszowej. Był wpływową osobą. Jak poszłam do urzędu, to zawsze otaczali go ludzie. Wchodził na stół i rozglądał się dookoła i szukał ludzi, którzy potrzebują pomocy. Niektórzy się podszywali pod pogorzelnców, wiadomo każdy potrzebował jedzenia, czy się spalił, czy się niespalił. On zawsze jak mnie ujrzał, to dawał mi przydział.

We wrześniu 1939 r. myśleliśmy przede wszystkim, aby przetrwać. Wszyscy ludzie ten czas przeżywali z wielkim płaczem. Naszej sąsiadki, Marii Urban dzieci mieszkaly u nas. Pomału się budowało dom i stodołę. Na wiosnę dostaliśmy zboże od rodziny i obsialiśmy nim rolę. Dlatego w jesieni mieliśmy już dobre zapasy. Podczas wojny nie można było leniuchować. Nasze życie, naszych rodzin i wszystkich Polaków było zagrożone. Trzeba było wziąć się w garść i do roboty.

Niewygód przeżyliśmy co niemiara. Jedzenie przywoziła nam rodzina. Mój szwagier lubił zawsze coś zahandlować, więc zawsze jakiś kawałek świni przywiózł. I jeszcze te przydziały. One nam pomogły przetrwać najgorsze. W sumie jedzenia nam nie brakowało. Najważniejszą kwestią było utrzymanie bydła, bo przecież w nim było życie. Podczas wojny tak bardzo się to doceniało. Bydło nam dostarczało zdrowe mleko, ser, masło i tym podobne odżywcze, wspaniałe produkty.

Podczas wojny nikt z naszej rodziny nie zginął, ani nie był torturowany, czy zamykany w więzieniu. Ja miałam dwóch braci i siostrę, która mieszkała ze swoim mężem w Kupnie. Niemcy nie przeszkadzali nam w budowie domu. Tak, czy inaczej byliśmy im wdzięczni za to, że 9 września wypuścili nasze bydło z palących się obór. Szkoda tylko, że nie dali nam wziąć tych tobołków, które wcześniej popakowaliśmy z obawy przed nimi. Zgromadziliśmy wszystko, co było cenne. Zaczęliśmy pakować najcenniejszy i najpotrzebniejszy dobytek jak usłyszeliśmy, że Niemcy są pod Dębicą. Zrobili nam tę krzywdę, że spalili nasze gospodarstwo, innej krzywdy od nich nie zazналиśmy. To, co psychicznie przeżywałam widząc cierpiących po stracie dorobku swego życia rodziców nie da się opowiedzieć. W kilka godzin okazałe budynki stały się popiołem. Żal mi ich było bardzo. Niewygód było bardzo dużo, ale człowiek był młody i jakoś to zniósł.

Za okupacji sowietów miał miejsce taki bardzo nieprzyjemny wypadek. Rosjanie budowali łaźnię (teraz jest tam przedszkole, obok PZGS). Zbierali wszystkich ludzi, kogo napotkali na ulicy. Mąż wtedy wracał z miasta i też go zatrzymali i zabrali do roboty przy budowie. Po kilku godzinach odszedł od budowy do domu na obiad. Jeden robotnik, który razem z nim pracował podkablował żołnierzowi, że jeden robotnik uciekł do domu. Po chwili już byli u nas w domu, żołnierz i ten robotnik-kapuś. Akurat mąż był już po posiłku. Pamiętam, że ten żołnierz był starszy rangą. Stanął w ganku razem z robotnikiem i wyciągnął z kabury pistolet. Wycelował w mojego męża i strzelił... Już myślałam, że zastrzelił mego ukochanego. Strzelił obok. Wrócili budować tą łaźnię.

*Wspomnienia wysłuchał i opracował:  
Antoni Stapor.*

*Emilia Opalińska, córka Katarzyny i Jana Stepniów ur. się 1. III. 1916r. w Kolbuszowej. W grudniu 1939 r. poślubiła Władysława Opalińskiego. Urodziła czworo dzieci: Zofię, Stanisława, Jerzego i Jana. Przez całe życie pracowała na gospodarstwie.*